TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie....................$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azji, Afryki i Australii..........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 24. Chicago, Ill., Czwartek, 16-go Czerwca, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Napomknienie zaś o Wiaziemskim, przedstawiające Srebrnego, jako wroga straconego księcia, było obmyślone i przygotowane zawczasu.

Car ziewnął raz jeszcze, lecz nie odpowiedział nic. Godunow chwytający każdy rys jego twarzy, nie wyczytał w niej żadnej oznaki bądź jawnego, bądź ukrytego gniewu. Owszem, zauważył nawet, że car kontent był z tego, że Srebrny chce się oddać w jego ręce.

Jan, przelewający krew i zmuszający wszystkich do drżenia przy jednem swem imieniu, chciał przy tem wszystkiem, żeby go miano za sprawiedliwego, nawet litościwego. Rozlew niewinnej krwi zawsze przybranym był w maskę sprawiedliwego wyroku sędziowskiego: a ufność w jego wspaniałomyślność tem więcej schlebiała carowi, że takowa zdarzała się bardzo rzadko.

Po chwili Godunow postanowił wyciągnąć od Jana odpowiedź.

— Co rozkażesz, carze? — spytał — czy mam zawołać Grygorja Łukjanycza?

Lecz Jan był dostatecznie nasycony ostatnim widokiem tylu pokaleczonych trupów, i kilka głów więcej nie mogło się przysłużyć do wzburzenia w nim uśpionej na chwałę żądzy krwi. Groźnie spojrzał na Godunowa.

— Czy myślisz? — rzekł ostro — że bez mordów żyć nie mogę? Co innego zło-

czyńcy, którzy mącą spokój państwa, a co innego Nikita, który Afońkę uchlastał. Co do rozbójników, to zobaczę, których mam stracić, a którym winy darować. Niechaj razem z Nikitą czekają na mnie przed czerwonym gankiem na dworcu. Jak wyjdę z sypialni, będę wiedział co mam czynić.

Godunow życzył carowi dobrego spoczynku i odszedł z nizkim ukłonem.

Wszystko zależało teraz od usposobienia, w jakiem się przebudzi Jan.

XXXVII.

Przebaczenie.

Uprzedzony przez Godunowa, przybył Nikita Romanowicz na carski podwórzec z swoimi opryszkami.

Poranieni, oberwani, w różnych łachach, jeden w żupanie, drugi w kożuchu, inny w łapciach, inny boso, wielu z podwiązanemi głowami, wszyscy bez czapek i bez broni, stali w milczeniu, jeden koło drugiego, oczekując na przebudzenie się carskie.

Nie pierwszy raz dopiero widzieli zuchy Słobodę. Przychodzili tam nieraz jako gęślarze, żebracy lub hecarze i przyprowadzali niedźwiedzie. Niejedni nawet brali udział w ostatnim pożarze, gdy Pierścień z Jastrzębiem przyszli uwolnić Srebrnego. Wielu było między nimi naszych znajomych, i wielu też brakowało. Brakowało tych co w obronie Ruskiej ziemi legli niedawno na Razańskiem polu; i tych, którzy po zwycięztwie nie chcieli iść do cara i prosić o przebaczenie: nęcił ich urok koczującego życia. Nie było ani Pierścienia, ani Mitki, ani rudego pieśniarza, ani dziadzia Jastrzębia. Pierścień po raz ostatni zjawił się w Moskwie, w dniu sądnego pojedynku i zniknął Bóg wie gdzie. Mitka podążył za nim. Pieśniarza jeszcze dawniej ugodził Srebrny, a Jastrzębia teraz pod murami Kremlu targały psy i dziobały kruki.

Dwie już blizko godziny czekali zuchy ze spuszczonemi oczyma, nie podejrzewając nic, że car patrzy na nich przez małe okienko, nad samym gankiem, w ozdobnych wieżyczkach ukryte.

Żaden nie rozmawiał ni z kamratem z Srebrnym, który stał na boku, zamyślon i nie zwracający uwagi na mnóstwo ludtłoczących się u wrót i furtek. Do ciekawych należała i mamka carska. Stała n ganku, o kostur wsparta i patrzyła na wsstko martwemi oczyma, oczekując przyhcia Jana, być może dla tego, by swoją obecnością powstrzymać go od nowych okrcieństw.

Iwan Wasiliewicz dojść się już przyjrzawszy opryszkom z ukrytego okna, i ucieszony myślą, że stoją teraz między życiem a śmiercią, i że nie wesoło im mus być bardzo na sercu, pojawił się nagle na ganku w otoczeniu kilku opryczników.

Ujrzawszy cara, całego w złocie i na ozdobnej wspartego lasce, rozbójnicy klękli i schylili głowy.

Jan milczał jakiś czas.

— Jak się macie oberwańcy! — [illegible] w końcu, a spojrzawszy na Srebrnego [illegible] — Po coś to łaskaw przybyć do Słobody? za więzieniem, zatęskniłeś, hę?

Na to Srebrny odpowiedział skromnie:

— Carze, z więzienia sam nie uciekłem, lecz mnie opryszki przemocą uprowadzili. Oni to pobili szyryńskiego murzę Szychmata, o czem powinna wiedzieć twoja carska miłość. Razem gromiliśmy Tatary, razem oddajemy ci się w ręce. Trać nas, albo przebacz nam; niech się dzieje wedle twojej woli.

— To po niego wtedy przychodziliście do Słobody? — pytał Jan rozbójników — zkądże go znacie?

Batiuszka-carze — odpowiedzieli półgłosem rozbójnicy — uratował życie naszemu atamanowi, gdy go w Miedwiediewce chcieli powiesić. Ataman go uprowadził z więzienia.

— W Miedwiediewce? — tu Jan się uśmiechnął — a! to wtedy, widać, jakeś Chomiaka i jego objazd wytrzepał? Ja to pamiętam! Darowałem ci pierwszą winę, a według naszej umowy wtrąciłem do więzienia jakeś po raz wtóry napadł na moich ludzi u Morozowa. Co powiesz na to?

Srebrny chciał odpowiedzieć, ale mamka go wyprzedziła.

— Już dosyć chyba będziesz miał wy-

liczania jego win! zamiast go nagrodzić za to, że Basurmanów pobił, ujął się za naszą wiarę, myślisz tylko, jakoby winę w nim odnaleźć! Mało miałeś żeru w Moskwie, wilku ty jakiś!

— Milcz stara! — zawołał Jan ostro — nie twoja babska rzecz mnie uczyć.

Choć złym był na Onufrową, nie chciał jednak jej drażnić i odwróciwszy się od Srebrnego, rzekł do klęczących rozbójników.

— Gdzie wasz ataman, wisielcy? Niech się pokaże.

Na to odpowie za opryszków Srebrny:

— Ich atamana nie ma tutaj, carze. Po razańskiej bitwie poszedł w świat. Wołałem go, lecz nie chciał z nami iść.

— Nie chciał! — powtórzył Jan — zdaje mi się, że tym atamanem jest ten sam ślepy, co do mojej sypialni ze starym przyszedł. Słuchajcie oberwańcy, każę odszukać waszego atamana i na kół go wpakować!

Mamka zamruczała:

— Ciebie samego to na pewno czorci na kół na tymtym świecie wpakują.

Lecz car udał, że nie słyszy, i mówił dalej, patrząc na opryszków.

— A wam za to, żeście sami oddali się w moje ręce, przebaczam. Wytoczyć im pięć beczek miodu na dwór! No — co! podoba ci się, stara paplo?

Mamka jęła żuć ustami.

— Niech żyje car! — krzyknęli rozbójnicy. — Będziemy ci służyli, batiuszka carze! Zasłużymy na twoje przebaczenie swojemi głowami.

Jan mówił:

— Każdemu wydać po dobrym kaftanie i po grzywnie na głowę! Chcecie, wisielcy, służyć mi w opryczniсtwie?

Niejedni się zmięszali lecz większa część zakrzyknęła:

— Gotowi jesteśmy służyć, batiuszka, gdzie twoja carska miłość przykaże.

— Jak sądzisz? — ozwał się Jan z wesołą miną do Srebrnego — nadadzą się do bojowego szyku?

— Ha, żołnierze to będą dobrzy, tylko do opryczniсtwa już ich nie wpisuj, carze.

Janowi się wydało, że Srebrny uważa rozbójników za niegodnych takiego zaszczytu, i rzekł uroczyście.

— Jak komu przebaczam, to nie przebaczam mu tylko połowy.

— A jakież to przebaczenie, carze — wyrwało się z ust Srebrnemu.

Jan spojrzał nań ze zdziwieniem.

Nikita Romanowicz zaczął się trochę plątać.

— Oni przecież, carze, wiele dobrego uczynili; żeby nie oni, być może, Tatarzy by na sam Razań poszli.

— Więc dla czegoż nie mogą służyć w opryczniсtwie? — spytał Jan przeszywając wzrokiem Srebrnego.

— Dla tego carze — wymówił Srebrny, który daremnie szukał miękkich wyrażeń — dla tego, carze, że choć i oni, prawda, są źli ludzie, ale zawsze lepsi od twoich bluźnierców.

Ta niespodziewana śmiałość Srebrnego zastanowiła Jana. Przypomniał sobie, że nie pierwszy raz dopiero mówi z nim Nikita Romanowicz tak otwarcie i prosto. A tymczasem sam na śmierć skazany wraca się dobrowolnie i oddaje mu w ręce. O hardość nie można go było winić i car nie wiedział sam jak przyjąć te słowa, gdy nowa okoliczność zwróciła jego uwagę.

Między opryszków wcisnął się niepostrzeżenie jakiś obcy człowiek, wyglądający na lat 60, czysto przyodziany, i chciał podejść do Srebrnego, tak, by go car nie zauważył. Kilka razy już wyciągał rękę, by chwycić księcia za rękaw, ale nie mogąc dostać, znów się chowal za rozbójników.

— A to co za szczur! — spytał car ukazując na nieznajomego.

Lecz ten już się zdołał ukryć w tłumie.

— Rozsuńcie się, ludzie — rzekł Jan — i dajcie mi tego zucha, co się tam z tyłu chowa.

Kilku opryczników wpadło między ludzi i wydostało winowajcę.

Jan spojrzał nań podejrzliwie, potem spytał:

— Coś ty za człowiek?

Tu Srebrny, poznawszy swego starego Micheicza, odpowiedział:

— To mój strzemienny, carze; nie widział mnie od tej chwili...

Micheicz mu przerwał, jąkając się z radości i strachu:

— Tak, tak, batiuszka carze! nie widzieliśmy się od tego dnia, jak go złapali, pozwólcież, batiuszka carze, popatrzeć na swego bojarzyna. Panie Boże mój drogi! Drogi Nikita Romanycz, myślałem że cię więcej nie ujrze!

— Cóżeś chciał mu powiedzieć? — pytał car, ciągle jeszcze z niedowierzaniem spozierając na Micheicza — dla czego się chowałeś za opryszków?

— A bo się trochę zestrachałem twoich opryczników batiuszka-carze Iwanie Wasiljewiczu, bo to sam przecież wiesz carze, że to naród taki...

Tu Micheicz przyciął usta. A Jan starał się nadać swej twarzy wyraz jak najłagodniejszy i rzekł:

— Jaki naród? mów stary bez ogródki, jaki to naród co moi oprycznicy?

Micheicz widząc łagodne oblicze cara uspokoił się.

— A takiego przed wojną litewską dawniej nie widywaliśmy — rzekł nagle, zachęcony delikatnemi słowy Jana — żeby to cię tak nie obrazić, naród paskudny, kura ich rodziła!

Car przenikliwie wejrzał na Micheicza, zdziwiony, że sługa równie jest otwartym, jak i jego pan.

— Coś tak na niego oczy wytrzyszczył! — odezwała się mamka — chcesz go zjeść, czy co! albo nieprawdę mówi? byli dawniej na Rusi bluźniercy?

Micheicz się ucieszył, że ma za sobą Onufrowę.

— Tak babusiu, tak — rzekł — oni to są sprawcami wszelkiego złego na Rusi. Oni to bojarzyna obmówili! Nie wierz im, carze, nie wierz! Psie łby mają w zbroi i psie słowa na języku! Pan mój wiernie ci służył, jeno Wiaziemskij i Chomiak obmówili go przed tobą. I babusia prawdę powiedziała, takich ścierwojadów nie było nigdy na Rusi.

I ciągle się oglądając na otaczających go opryczników, Micheicz podszedł do samego Srebrnego. — Choć jesteście wilkami, teraz mnie nie zjecie! — pomyślał.

Car, już wchodząc na ganek, postanowił przebaczyć rozbójnikom. Chciał tylko przetrzymać ich czas jakiś w niepewności. Uwagi mamki były nie w porę i omało nie rozdrażniły Jana, ale że był w wesołem usposobieniu, więc zamiast się gniewać myślał pośmiać się nad Onufrową i pokazać w oczach dworaków, jak sobie mało z niej robi Chciał też zażartować i z strzemiennego Nikity Romanowicza.

— To ci się, bratku, niepodoba opryczenictwo — zapytał go, niby dobrodusznie.

— A komuż ono się podoba, batiuszka carze! Od czasu, jakeśmy wrócili z Litwy, wiele biedy naczyniło memu bojarowi. Gdyby nie było tych, przebacz Boże, bluźnierców mój pan po dawnemu byłby w łaskach u twej carskiej miłości.

Tu Micheicz znów bojaźliwie spojrzał na sługi carskie, w tejże jednak chwili pomyślał: "oh, kura was rodziła! niech stracę głowę, ale za to oczyszczę pana swego przed carem."

— Dobrego masz strzemiennego! — rzekł car do księcia — żeby to i moi słudzy byli takimi wiernymi! A dawno już służy u ciebie?

— A ja, batiuszka carze — przerwał znowu Micheicz, widząc, że Iwan Wasiljewicz go chwali — służę kniaziowi od samego jego dzieciństwa. I ojcu jego nieboszczykowi służyłem, i ojciec mój dziadowi służył, i dzieci moje gdybym je miał, służyłyby jego dzieciom!

— Alboż dziatek nie masz staruszku — zapytał Jan jeszcze łagodniej.

— Miałem dwóch synów, batiuszka, ale mi obudwóch Bóg zabrał. Obaj polegli za twoją carską sprawę, pod Połockiem, gdyśmy z Nikitą Romanowiczem i kniaziem Prońskim przyszli na pomoc Połockowi. Starszemu, Wasiljanowi, wrogi Lach szablą głowę rozpłatał, a młodszemu Stepanowi pierś przestrzelili tu oto w tem miejscu.

I Micheicz palcem wskazał na swą pierś.

— Oho! — odrzekł Jan i kiwał głową jak gdyby miał współczucie dla Micheicza — ha! cóż robić, staruszku, tych Bóg zabrał, trzeba się starać o innych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SYN WDOWY,

POWIASTKA HISTORYCZNA Z XVI WIEKU.

(Dokończenie.)

I zgromadziwszy swój oddział, otoczył nim jakby żywym murem gromadkę umierającą z trwogi. Wielki był czas po temu, za chwilę bowiem wpadł rozjuszony Jeklein na czele zajadłej gromady, którą świeży rozlew krwi do nowych okrucieństw pobudził.

— Odstąp natychmiast, zawołał karczmarz, żywa dusza z rąk naszych nie wyjdzie.

— Precz! krzyknął Willibald, przybyliście tu walczyć ze zbrojnymi, ale nie zabijać kobiety. W imieniu naszego wodza Wedla, rozkazuję ci odejść, jeżeli nie chcesz, abym cię siłą do tego zmusił.

— Co ty młokosie będziesz mi tu wydawał rozkazy, wrzasnął wściekły oporem Jeklein. Hej chłopcy weźcie się do niego!

Tłum rzucił się naprzód, ale nastawione halabardy, żelaznym murem zagrodziły mu drogę. Zagrzmiały strzały i paru najśmielszych napastników potoczyło się na ziemię, lecz pomimo to słabszy oddział Willibalda byłby niezawodnie uległ przemocy rozgrzanych zajadłością zwycięzców, lecz w tej chwili Willibald nie zważając na niebezpieczeństwo, rzucił się w środek przeciwników, pochwycił Jekleina za gardło, obalił na ziemię, a przyłożywszy mu puginał do gardła, zawołał:

— Jeżeli nie każesz natychmiast ustąpić swoim, zabiję cię bez litości:

Drżący z bojaźni okrutnik wydał rozkaz żądany:

— Odstąpcie, rzekł przytłumionym głosem, co wam tam po tych babach, pohulajcie sobie dzieci po zamku.

Usłyszawszy te słowa gromada rozbiegła się po zabudowaniach, lecz Willibald obawiając się zdrady zatrzymał Jekleina pod strażą.

Podczas gdy tamci zajmowali się rabunkiem, Willibald zbiegł do piwnic zamkowych szukając matki, lecz nigdzie jej znaleźć nie mógł. W tem barona dowiedziawszy się o co idzie, uwiadomiła go, że na baszcie zamkowej, od paru lat znajduje się jakaś uwięziona niewiasta. Willibald pobiegł tam natychmiast i z największą radością znalazł matkę.

Radości ich opisywać nie potrzebujemy; zaledwie jednak pierwsze przeminęło uniesienie, kiedy nagle czarne kłęby dymu zaciemniły jasność dnia. Willibald pochwyciwszy matkę, sprowadził ją do przedsionka i ujrzał cały zamek w płomieniach. Natychmiast więc zabrawszy gromadę ocalonych, uwolnił pieniącego się ze złości Jekleina i boczną bramą opuścił zamek, który wkrótce zamienił się w jedno ogromne morze płomieni.

Willibald zamiast powrócić pod Weinsberg, odesłał Wedlowi żołnierzy, zatrzymując przy sobie dwudziestu tylko, aby pod ich zasłoną uprowadzić hrabinę z dziećmi w bezpieczne miejsce. Pragnęła ona dostać się do Weinsberga, lecz Willibald odwiódł ją od tego przekładając niebezpieczeństwo, na jakie by naraziła dzieci, przedzierając się do oblężonego miasta.

Postanowiono udać się do Sztutgardu, gdzie Jerzy z Waldburgu gromadził znaczne siły. Gabryela nie mogąc znieść trudów kilkunasto-milowej podróży, pozostała w wiosce pod miasteczkiem Laufen u znajomej mieszczanki. Willibald na dwie mile od Sztutgardu, odprawił swych towarzyszy, których baronowa hojnie wynagrodziła, sam zaś zaprowadził ją do Stolnika i jego opiece powierzył.

Zasłużone a gorące pochwały, jakie baronowa oddawała swemu wybawcy, który tylu doznawszy przykrości od męża, z narażeniem życia ocalił jej i dzieciom życia, mocno wzruszyły Stolnika. Z wzruszeniem uścisnął rękę młodzieńca i rzekł:

— Nie spodziewałem się, aby w mieszczańskiej duszy tak szlachetne mogły się ukrywać przedmioty. Młodzieńcze, wstąp w me szeregi, ofiaruję ci stopień porucznika w mem wojsku, a za pierwszem oznaczeniem się na polu bitwy zrobię cię rycerzem.

— Panie, odpowiedział Willibald, dziękuję wam za niezasłużoną łaskę, gdyż uczyniłem to tylko, co każdy inny zrobiłby niezawodnie na mem miejscu, ale uwolnij mię od jej przyjęcia. Wojna ta jest okropną, że po żadnej stronie walczyć nie mogę. Niemcy walczą przeciwko Niemcom, a każde zwycięstwo z którejkolwiek bądź strony odniesione jest tylko klęską dla kraju, a potem mam matkę, do której spieszyć muszę.

— Dobrze więc, uparta głowo, idź gdzie ci się podoba, pamiętaj jednak, jeżelibyś kiedy w tych burzliwych czasach znajdował się w niebezpieczeństwie, udaj się do mnie, a znajdziesz zawsze obronę.

I natychmiast kazawszy wygotować list żelazny, doręczył go Willibaldowi, aby pod jego zasłoną bezpiecznie mógł kraj przebywać.

X.

Tymczasem przez tydzień czasu, który Willibald w drodze przepędził, zaszły niezmiernie ważne okoliczności. Zewsząd z każdym dniem nadchodziły okropne wieści o stoczonych bitwach, a wszystkich prawie niepomyślnych dla zbuntowanych chłopów.

Antoni, książe lotaryński, uderzywszy na gromadę złożoną z sześciu tysięcy wieśniaków, po uporczywej walce wparł ją do wsi Lupfstein, którą ze wszystkich stron kazał podpalić, kto zdołał wyskoczyć z płomieni, ginął od miecza nieprzyjacielskiego, a tak polegli wszyscy co do jednego, następnie uderzył na miasto Zabern. Chłopi widząc, że nie zdołają obronić się, weszli w układy. Pozwolono im po złożeniu broni odejść wolno, lecz gdy opuścili bezbronni miasto, wojsko księcia napadło na nich ze wszystkich stron i ośm tysięcy w pień wycięło.

Z drugiej strony rycerz Gaismajer, wódz chłopów salzburskich, lubo odniósł zwycięztwo nad wojskiem arcyksięztwa austryackiego, nawzajem pobitym został przez rycerza Freundsberga. Gaismajer zaledwie ze szczątkami przedarł się za Alpy. Tysiące schwytanych do niewoli rozkazał arcybiskup Salzburski, pan tej krainy, ukarać śmiercią.

Elektor Ryszard trewirski i Konrad biskup Wurzburski po zwycięženiu zbuntowanych wieśniaków, przeciągali kraj i w każdej wiosce po kilka kazali tracić; margrabia Brandebursko-kulmbachski, pomiędzy innemi, sześćdziesięciom mieszkańcom Kitzingenu oczy wykłuć rozkazał.

Równocześnie sprzymierzeni książęta i hrabiowie ruszyli pod Wurzburg, gdzie stała główna potęga chłopów. Gótz z Berlichingenu ich wódz, dowiedziawszy się o tem, obładowany łupami uszedł potajemnie zostawiwszy wojsko bez dowództwa. Podrzędni wodzowie zaczęli kłócić się z sobą, wówczas część szlachty stojąca po stronie wieśniaków, opuściła ich; a książęta uderzywszy na poważnione nieprzygotowane tłumy, zwyciężyli je zupełnie, wyjąwszy jednego oddziału pod komendą Floryana Gajer, który przerżnąć się zdołał.

Najstraszniejszy los czekał gromady Weinsbergskie. Natychmiast po odjeździe Willibalda, Jeklein Rohrbacher rozjątrzony niepowodzeniem na zamku, wpadł do świeżo zdobytego miasta i korzystając z zamięszania, zamordował wziętego do niewoli Helfensteina, razem z 70 hrabiów, rycerzy i szlachty, w najokrutniejszy sposób.

Rycerz z Waldburga dowiedziawszy się o tem, wyruszył natychmiast na Wurzburg. Wedel obwarował się w mieście, postanowiwszy bronić się do upadłego, ale Jeklein zabrawszy swoją krwi chciwą gromadę, uszedł wcześnie, niechcąc narażać się na wpadnięcie w ręce Stolnika.

Jeżeli szturm był zajadły, to i obrona również uporczywa. Działa miejskie szerzyły straszne spustoszenie w szeregach Stolnika, ale trzeciego dnia mury zgruchotane upadły, oblężeńcy wdarli się do miasta, ośm tysięcy obrońców poległo, kilkudziesięciu dwo schwytano żywcem i na murach obwieszono. Wedel z paruset jezdnymi prze-

się przez zwycięzkie zastępy.

Tymczasem Willibald wracał do wsi, gdzie pozostawił matkę, nie mógł iść drogą zwykłą, gdyż zastępy Stolnika i oddziały chłopskie snuły się po niej i lada chwila mógł się narazić na utratę życia lub wolności, puścił się więc drugim brzegiem Nekaru.

Pięknego ranku majowego, młodzieniec już dochodził do rzeki, zamierzając przeprawić się przez nią do Laufen, aby jak najprędzej z tych stron niebezpiecznych matkę uprowadzić, kiedy nagle nieregularny ogień ręcznej broni przerwał jego dumania. Willibald obrócił się szybko i ujrzał od wsi Hochenek, przez której środek umykała rozpierzchniona gromada zbrojnych w kierunku rzeki, dym i uciekające tłumy. Jedni pierzchali w nieładzie, drudzy pojedyńczemi strzałami starali się wstrzymać nacierającego nieprzyjaciela. Zdala nie można było rozpoznać, czy uciekający należą do wieśniaków, czy do wojsk książęcych.

Wtem jeden z pierzchających przebiegł tu obok.

— Co to za oddział? zapytał Willibald.

— Jekleina Rohrbachera! krzyknął wieśniak, gonią nas, zabijają. I rzucił się w nurty Nekaru porzucając broń.

Willibalda dreszcz przejął, dowiedziawszy się o nazwisku dowódzcy. Niezmierną odrazą tchnął ku temu nikczemnemu mordercy, lecz zarazem żal mu było tych biednych ludzi ginących marnie, wspomniał na matkę, na jej rozpacz, gdyby go podobny los spotkał, wyobraził sobie inne niewiasty oddane na łup nędzy i żalu, po stracie mężów, ojców i synów i postanowił uratować, ilu tylko mógł Stojąc więc za krzakami, zwoływał uciekających, wskazując im miejsce dogodne do przebycia rzeki.

Już kilka dostało się szczęśliwie na drugi brzeg, kiedy ujrzał nadbiegającego w nieładzie Jekleina.

— Jeklein! Jeklein! zawołał Willibald.

— Do czarta, krzyknął Rohrbacher, zatrzymując się, wszak jesteś Willibaldem synem wdowy, skądżeś się tu wziął u licha? — winszuję ci, wpadłeś w szatańskie szpony.

— Kto za wami ściga?

— Hm, zawołał karczmarz, drapiąc się za ucho, to piekielna historya. Stolnik rozbił nasze wojsko pod Boblingen, gdyż zdrajca burmistrz wpuścił potajemnie nieprzyjaciela do miasta. Ja wymknąłem się ze swoimi i chciałem troszkę pogospodarować w sąsiednim klasztorze, gdy tymczasem te przeklęte knechty napadłszy niespodzianie, w puch nas rozbili.

— Czy liczny oddział was ściga?

— Ktoby ich tam rachował, dość, że gonią i biją.

— A gdybyś w tych krzakach zebrał nieco strzelców i powstrzymał goniących, inni mieliby czas przeprawić się przez Nekar.

— Niech ich licho porwie, co mnie tam kto obchodzi...

W tem kilkudziesięciu jezdnych wyskoczyło ze wsi i galopem zbliżało się ku brzegowi.

— Jeklein! zawołał Willibald, ratuj się wpław! i nie czekając, aż jeźdźcy nadbiegną, rzucił się w rzekę.

Ale karczmarz o ile był odważnym do rabunku i morderstw, o tyle teraz stracił ducha zupełnie, bał się skoczyć w rzekę, nie umiejąc pływać i drżąc ze strachu, rzucił broń i dał się schwytać bez oporu.

A jednak śmierć w nurtach Nekaru byłaby dla niego dobrodziejstwem. Schwytano go, skrępowano i zaprowadzono przed Stolnika, który dowiedziawszy się o nazwisku jeńca, karząc wszystkie zbrodnie jakich się dopuścił, a mianowicie też zamordowanie swego przyjaciela Helfensteina, kazał mu takie zadawać męczarnie, że pióro wzdryga się opisać je szczegółowo.

Willibald chociaż nie miał udziału w całej tej sprawie, a nawet posiadał list żelazny Jerzego z Waldburga, lękał jednakże udać się do matki prostą drogą, gdyż pierwszy lepszy dowódzca należący do innego książęcia mimo tego wszystkiego mógł go schwytać i powiesić, umyślił więc przez lasy dostać się do Laufen, zabrał matkę i uprowadził ją na południe.

Szedł zarosłemi wzgórzami, przypominając sobie również niebezpieczne chwile, gdy przed kilkoma laty uchodził przed rozgniewanym baronem.

Nagle z krzewiny wyskoczyło kilku

zbrojnych, pochwyciło go, zawiązało i zakneblowało usta, tak szybko, iż nawet nie miał czasu pomyśleć o oporze.

— Zaprowadźcie tego ptaszka do jaskini, tam wyśpiewa dla czego tak ostrożnie skradał się około naszych stanowisk.

Po przebyciu kilkaset kroków niedostępnemi zaroślami, Willibald dostał się do obszernej jaskini, przy której kilku uzbrojonych w muszkiety stało na straży.

Poprowadzono go przed wodza, siedzącego na ułamku skały.

Willibald z niezmiernem zadziwieniem poznał w nim Floryana Gajera, który mu ocalił życie w potyczce z zbirami barona.

— Co tu robisz, chłopcze? zawołał smutno rycerz, podając mu rękę.

Dziesiętnik, który go przyprowadził, opowiedział, że schwytano Willibalda przekradającego się przez stanowiska i podejrzywając o podglądywanie, uwięziono.

— Puśćcie go, to mój dawny znajomy, waleczny i poczciwy. Gdyby wszyscy tacy byli, inaczej poszłaby cała nasza nieszczęśliwa wojna.

— Patrz, Willibaldzie, w jakiem jesteśmy położeniu, rzekł do niego, skoro się oddalili żołnierze, z stu kilkudziesięciu tysięcy wojowników, którzy przed tygodniem stali pod bronią, zaledwie pozostało sześciuset pod moim dowództwem.

— Cóż się dzieje z Munzerem? zapytał Willibald.

— Munzer ogłosił się prorokiem i tym sposobem zdołał zebrać kilka tysięcy fanatyków, zwanych od powtarzania chrztu nowochrzeńcami, lecz pod Frankenhausen pobity przez Filipa landgrafa heskiego, został schwytany i ścięty w Muhlhuzie. I nas także lada chwila otoczą i wytną.

— Dla czego więc nie porzucicie broni i nierozejdziecie się?

— Niepodobna, jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni, a zresztą postanowiłem bronić się w tem silnem stanowisku; lecz powiedz mi, jakim sposobem ty dostałeś się w pułapkę?

Willibald opowiedział wszystkie swoje przygody.

— A więc uchodź, chłopcze, dopóki możesz.

— Nie, nigdy tego nie uczynię, odrzekł Willibald, tyś mi ocalił życie, w twojej obronie pragnę umrzeć, wyznacz mi stanowisko, a będę go bronił do upadłego.

Pomimo jednak próśb i zaklinań Willibalda, Gajer nie pozwolił mu pozostać przy sobie, a kiedy młodzieniec nie chciał mu być posłusznym, kazał go przemocą wsadzić na konia i powierzywszy czterem zaufanym jeźdźcom, uprowadzić tajemnem przejściem.

Dnia 3 czerwca 1525 roku, Gajer wymknął się z lasów i pociągnął do górnej Bawaryi, gdzie połączył się z kupą zbrojnych wieśniaków i pomnożywszy swój oddział do czterech tysięcy, rozległ się obozem opodal Ingolsztadu.

Tymczasem nadciągnął zwycięzki Stolnik i uderzył ze wszystkich stron na Gajera z nader przemagającą siłą. Za pierwszem uderzeniem chłopi poszli w rozsypkę, oddział tylko wodza przyprowadzony z Szwabii, bronił się do upadłego, raz jeszcze waleczny rycerz wymknął się z kilkudziesięciu ludźmi z rąk nieprzyjaciół, aż nakoniec poległ pod murami Wurzburga.

XI.

Willibald na rozkaz Floryana uwieziony z obozu, dostał się szczęśliwie do matki, która przez czas jego nieobecności o mało z trwogi nie umarła. Oboje puścili się ku południowi, pragnąc dostać się do Bryzgowii, na granicę Szwajcarską, dokąd nierozciągały się zaburzenia.

Już dochodzili do miasteczka Lorach, na samej prawie granicy leżącego, gdy w tem wśród lasu spostrzegli karczemkę. Gabryela strudzona zapragnęła tu wypocząć.

Skoro weszli do izby, zastali w niej oprócz karczmarza dwóch ludzi, w jednym z nich z zadziwieniem poznał Willibald pustelnika.

Wedel niezmiernie ucieszony, uścisnął Willibalda, pozdrowił wdowę i opowiedział, jak mu się udało przedrzeć się przez niebezpieczne okolice.

— I cóż tu robisz? zagadnął Willibald.

— Cóż, oto handluję z tym samym ur-

wiszem, rzekł na stojącego obok człowieka, ma prześliczne cacko złotniczej roboty, ale się z nim droży niecnota.

Willibald jako złotnik zapragnął je obejrzeć, ale zaledwie rzucił okiem, a już porwawszy za gardło właściciela, dobył miecza i krzyknął piorunującym głosem:

— Zkąd to masz, mów, bo ci głowę roztrzaskam.

Był to relikwiarzyk jego roboty, który podarował siostrze przed laty.

Przerażony klucznik wyznał, że od trzech lat ma pod strażą w opuszczonej wieży młodą dziewczynę, której mu jego pan strzedz przykazał. Natychmist udali się z nim i z łatwością uwolnili biedną Elźbietę.

Nakoniec po tylu latach złączyła się napowrót rodzina.

Przebywszy czas zamieszek w Lorach, Willibald z matką i siostrą przenieśli się do Norymbergii, gdzie złożył warsztat złotniczy i z czasem został zamożnym mieszczaninem, a wyroby jego słynęły po całych Niemczech.

KONIEC.

Stary Komedyant,

(POWIEŚĆ.)

ROZDZIAŁ I.

Do bogato zaopatrzonego sklepu złotnika i jubilera Karstner, na jednej z pierwszorzędnych ulic stołecznego miasta niemieckiego Berlina wszedł młody człowiek liczący około dwudziestu i dwóch lat. Twarz jego nieszpetna napiętnowaną była pychą i owym przedwczesnym przesytem, jaki dziś tak często cechuje młodych ludzi, którzy dufają w swój majątek lub urodzenie, albo też swoim sposobem życia cieszą się tytułem złotej młodzieży. Ubiór jego zastosowany był do najnowszej mody, z gracyą rzucił na marmurową płytę stołu laseczkę i rękawiczki, i z poufałością, dowodzącą, że tu nie jest obcym, zwrócił się do rudowłosego sprzedawacza, który sam był w sklepie, z zapytaniem:

— Jest wuj w swojem biurze, Gerdau?

Sprzedawacz, liczący około czterdziestu lat, którego powierzchowność nie zdolna była obudzić wielkiego zaufauia, spojrzał gniewnie i mruknął:

— Pan Karstner pilne ma zajęcie i nikogo nie przyjmuje.

— Ale ja nie jestem gościem, jestem tu w domu. a ponieważ koniecznie z wujem pomówić muszę, — — —

— Niezawodnie panicz znowu potrzebuje pieniędzy? — zapytał Gerdau szyderczo, — może na zapłacenie małego podpisu na poprzek, albo też niewinnie zaciągnięty dług przy zielonym stoliku?

— Bezczelnym jesteś, Gerdau! Gdybyś nie był totumfackim, najzaufańszym powiernikiem mojego wuja, który zresztą taki sam mruk jest, jak ty, toby ci taka mowa na sucho nie uszła. Ale strzeż się, powiadam ci: strzeż się, bo pewnego pięknego dnia mogą się rzeczy ułożyć inaczej, a twój pan już się nie będzie nazywał: Bogumił Kastner.

To powiedziawszy półgłosem pobiegł młodzieniec po kilku stopniach prowadzących w końcu sklepu do bióra Bogumiła Karstnera.

Właściciel składu siedział przy biórku pochylony nad księgami i rachunkami, ale zatrudnienie tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny nie musiało być najprzyjemniejsze; zawsze bowiem ponure jego oblicze więcej jeszcze sposępniało. usta były konwulsyjnie zaciśnięte, a czoło jego głęboko było poorane.

— Czy siak, czy owak rachuję i kalkuluję, — mruknął, — niema drogi wyjścia! Nawet Gerdaua rada zdołała tylko chwilową sprawić ulgę, ale nie przyniosła skutecznej pomocy — a nadto obawa, aby się

nie wykryło! Śmierć stokroć lepsza, jak takie życie — — —

Szelest u drzwi przerwał jego uwagi; odwrócił oczy od swej pracy, a widząc wystrojonego młodzieńca, jeszcze więcej się zasępił.

— Ty tutaj? Czego chcesz? Obecnie nie mam chwili czasu. Przyjdź na inny raz, jeżeli chcesz ze mną pomówić.

Ale młodzieniec nie dał się zbić z toru.

— Czy na takie przyjęcie zasługuje kochający kuzynek, który wujowi przychodzi powiedzieć: dzień dobry? — zapytał, — krewny, który, gdyby nieboszczka ciotka moja nie była popełniła tego głupstwa, że w późniejszym swym wieku czeladnika i pomocnika swego pojęła za męża, dziś byłby sam właścicielem całego interesu?

— A który dawno był przehulał przy zielonym stoliku, albo za kulisami w teatrze, — uzupełnij wuj. — Ile to razy słuchać musiałem tego zarzutu, a Bóg świadkiem, że wybór twojej ciotki dość drogo opłaciłem! Twoje marnotrawstwo mogłoby i najbogatszego Krezusa zmarnować!

— Tem lepiej, że mój godny wuj dusigrosz zbiera ten miód, który ja, pracowita pszczółka, roznoszę po świecie. Ale do rzeczy; ja potrzebuję pieniędzy, wuju, sto talarów.

— Ani tyle szelągów ci nie dam. Idź, nie przeszkadzaj mi dłużej.

— Wuju, ja przegrałem — dług honorowy — — —

— Co mnie do twojego honoru? Czyżeś mi nie dał uroczystego przyrzeczenia, gdy ostatni twój weksel zapłaciłem, że już więcej grać nie będziesz?

— Zrobiłem to z rozpaczy, aby się odurzyć, wuju. Wiesz o tem, że zrobiłem wszystko, aby pozyskać miłość córki pana na Hilgenderfie, tego bogatego magnata, twojego odbiorcy. Na balach tej zimy dla niej tylko miałem słowa i spojrzenia, — wszystkie damy jej zazdrościły — a Agata sama bardzo była dla mnie grzeczną. Sądziłem już, że jestem już u celu moich usiłowań i postanowiłem przy najbliższej sposobności udać się do Hilgendorfu i tam sprawę ubić. Dziewucha ładna, a — co najgłówniejsza — jedyną dziedziczką tego ogromnego majątku. Wtem — wyobraź sobie moją wściekłość — spotkałem wczoraj starego Hilgendorfa, który przybył ze wsi do miasta; stary mię zatrzymał, opowiadał mi że dziś do ciebie chciał przybyć, aby dla swej córki zamówić garnitur, i przy tej sposobności zauważył, że zapewne niezadługo znajdzie się sposobność, aby z niego skorzystać. Ja się zadziwiłem i badałem dalej. a stary powiedział mi w zaufaniu, że ma zamiar zaręczyć Agatę z rządzcą swoim, Feliksem — ty go znasz, — z tym przybłędą, którego przed laty z miłosierdzia u siebie był przyjął. Dowiedziałem się, że młodzi ludzie już dawno się kochają, — a teraz, wuju, czy możesz się dziwić, że szukałem odurzenia i upajałem się, aby cios ten znieść?

Jubiler podskoczył gniewny.

— A więc i ta nadzieja zawiodła!—zawołał, — i na cóż się przyda gładka facyjata i twoje szlacheckie maniery, jeżeli nawet nie zdołasz niemi bogatej pozyskać żony?

Młodzieniec rozśmiał się szyderczo.

— Aby pozyskać bogatą żonę, do tego nie zawsze potrzeba tych przymiotów, które wymieniłeś, a najlepszy dowód zamęście mojej ciotki, która ciebie z syna chłopskiego od razu zrobiła bogatego, poważnego obywatela.

— Wolałbym, aby była — — mruknął Karstner, ale przerwał sobie i rzekł: — Tu masz dwadzieścia i pięć talarów, więcej ci dać nie mogę; zresztą wiedz, że ci raz ostatni daję, zanadto złe czasy. A teraz idź, idź, bo pilną mam robotę.

Obojętnie schował młodzieniec assygnacyą do kieszeni.

— No, toć już chęć starczyć musi za uczynek, — rzekł, — nie będę ci dłużej przeszkadzał; zresztą i ja mam zatrudnienie: zapalę sobie hawanosa i będę się nad tem zastanawiał, jak owym zakochanym w Hilgenlorf popsuć szyki. Prędzejbym wolał, aby stary rudowłosy Gerdau był mężem Agaty, jak ten podstępny świecibaka, o którym nikt nie wie, skąd pochodzi. Do widzenia, wuju!

To powiedziawszy zagwizdnął wesołą piosnkę, obrócił się na obcasie i wyszedł z pokoju; potem przechodząc się przez kra

skłonił się szyderczo i na pół dumnie sprzedawaczowi, który za nim patrzał z źle tajoną niechęcią.

Skoro się tylko za młodym paniczem drzwi zamknęły, wszedł pomocnik do bióra pryncypała. Wszedł nie zapukawszy; nie czekając na zezwolenie Karstnera, przysunął sobie krzesło i usiadł.

— No, — rzekł, — czego chciał ten błazen? Pieniędzy, prawda?

— Tak jest, — odpowiedział pryncypał; — dałem mu drobnostkę, aby mu zamknąć usta, ale mu zapowiedziałem, że to już raz ostatni.

— Drobnostkę! — Tylko dawać a dawać, a gdy ktoś inny potrzebuje czasem kilka groszy, to kasa zamknięta.

Karstner spojrzał na pół błagalnie na pół gniewnie.

— Czy ty masz prawo skarżyć się Michale? — zapytał z goryczą. — Gdy za twoją radą umiałem pozyskać łaski wdowy Elsen i ona ze mnie, pomocnika, zrobiła pana handlu, czyżeś ty źle na tem wyszedł? Czyżem cię po śmierci mej żony nie wziął do siebie, czym zawsze twojej rady nie słuchał, nawet wtenczas, gdy się dałem nakłonić do kupna tych nieszczęsnych papierów spekulacyjnych, które były początkiem mojej ruiny? Czy ci robiłem wyrzuty, gdy ogromny kapitał od razu straciłem? — Teraz mię wierzyciele cisną i upadek mój wolno się zbliża, ale jest nieunikniony; bo nawet ostatnia mię zawiodła nadzieja: ożenek Emanuela z córką pana na Hilgendorfie. Ten dziś ma zamówić garnitur na zaręczyny swej córki, ale nie Emanuel jest owym szczęśliwym narzeczonym.

Pomocnik przysunął się bliżej do jubilera.

— Słuchaj Bogumile, rzekł, — ten stan rzeczy zmienić się musi; skoro nam się mały interes udał, musimy i większy ryzykować. Historya z naramienniczką nie miała żadnych złych następstw, pies kot o to się nie spytał: — przy najbliższej sposobności powtorzymy tę sprawę w większych rozmiarach.

— Nigdy, przenigdy! — zawołał Karstner przerażony. — Prawda że gdyby się teraz wydało, że kamienie w naramienniczce radczyni Gollner są fałszywe, niktby już mi nie mógł udowodnić oszustwa, bo już cztery miesiące upłynęły, a w tym czasie kto wie, kto kamienie przemienił. Ale jednakowoż byłby szkandal, robionoby poszukiwania i — nie, nie dość tych złych rad, Michale. Ty jesteś dziś moim złym duchem, tak samo, jak byłeś dla mnie wężem w młodości i niezgodę zasiałeś pomiędzy dwoma istotami, które Pan Bóg węzłem krwi tak ściśle połączył.

— Mówisz o Piotrze, twoim przezacnym bracie? — odparł Gerdau obojętnie. — Wdzięcznym mi raczej powinieneś być, że ja was rozłączyłem i jemu dałem dobrą radę, aby sobie w świat poszedł; on byłby tylko hańbę na ciebie sprowadził. Kto wie, gdzie ten człowiek dziś się potłukuje, jeżeli w ogóle jeszcze żyje.

— Jeżeli jeszcze żyje, — powtórzył Karstner zamyślony. — Dziwna rzecz! Gdy jeszcze byłem młody, ani on mi na myśl nie przychodził, a teraz obraz jego tak często stawa mi przed oczyma duszy: — nocną porą zjawia mi się we śnie, blady, wynędzniały, a usta jego szepcą moje imię — — —

— Osłabienie nerwów i nic więcej, — przerwał mu Gerdau, — ty zaczynasz głupieć, stawać się fantastą! U niego wszystko było stracone, rodzice nie chcieli nic o nim wiedzieć, a i ty sam — — —

— Tak, i dziś zrobiłbym to samo!—zawołał Karstner; — łotr — z komedyantami uciec i jeszcze skraść portret matki — nie o ten portret mi chodzi, ale o ten drogi kamień zdobiący medalion, który był pamiątką i majątkiem rodzinnym i gdybym go dziś spotkał, wyparłbym się jego — — —

Przerwał mu głos dzwonka u drzwi składu. Karstner spojrzał przez szklanne okienko w drzwiaah, a potem zerwał się z krzesła i pobiegł do składu aby powitać wchodzącego. Był to pan skromnie ale gustownie ubrany, liczący około sześćdziesiąt lat wieku: twarz jego była uśmiechnięta i ujmująca, a cała jego postać sprawiała wrażenie miłego a bogatego pana.

— A, pan Hilgendorf! — powitał go Karstner; — cieszy mię mocno! Zawiadomiony przez mojego kuzynka Emanuela oczekiwałem pana — —

— I ja dosyć długo w Hilgendorf na was czekałem, — odpowiedział stary jegomość jowialnym tonem, — a jeżeli stary znajomy przyjść nie raczy, to niema innej rady, jak pana kupca sprowadzić, bo inaczej nie miałbym przyjemności ugościć go u siebie. Chciałbym mieć garnitur z brylantami — skromny wprawdzie na oko, ale kosztowny; do przyszłego wtorku musi być gotowy, a ja się spodziewam, że pan mi go osobiście przywieziesz i będziesz z kuzynkiem swoim moim gościem.

— Przyjmuję to dla mnie i dla mojego kuzynka tak zaszczytne zaproszenie, — odpowiedział jubiler; — garnitur będzie na czas gotowy. Emanuel wspomniał mi, że to z okoliczności nadzwyczajnej uroczystości rodzinnej — — —

— A, więc chłopak wygadał? — zawołał Hilgendorf — no tak, garnitur przeznaczony jest na dar dla mojej córki w dniu zaręczyn. Powiedz pan sam, panie Karstner, — dodał poważnie, — czy źle robię, że oddaję córkę młodzieńcowi, którego wychowaniem sam kierowałem, a który pod mojem okiem dorastał i w najszlachetniejsze zbogacał się uczucia? Zresztą znakomity z niego gospodarz, i wiem, że moja Agata, która go całem sercem kocha, w dobrych będzie rękach; wszakże ona jedyną moją córką, a o jej szczęście jedynie mi chodzi.

— Racya, racya, ale jednakowoż to fatalną jest rzeczą, że pan nic a nic nie wiesz o jego pochodzeniu!

— Ja nie uważam na rodowód, lecz patrzę na serce. Niechajby ojciec jego był, czem chciał, ale o tem jestem przekonany, że nie był złodziejem ani mordercą, bo tego rękojmią jest jego charakter; pan go sam znasz. Ale teraz pokaż mi pan swój towar. Pan wiesz, że jestem znawcą, chociaż tylko z amatorstwa zajmuję się drogiemi kamieniami, a więc coś dobrego, łaskawco, coś bardzo dobrego!

Karstner się zaambarasował.

— Przepraszam mocno, że dopiero za kilka godzin będę mógł panu te kamienie przedłożyć, — rzekł; — a resztę możemy ułożyć zaraz. Przed chwilą dopiero wysłałem wszystko, co miałem najlepszego, pewnemu przyjezdnemu panu do wyboru, a to, co mam w domu, nie wiele warte.

Pana Hilgendorfa uderzyło to zaambarasowanie się jubilera, ale że bardzo dobre miał serce, więc nie miał żadnego podejrzenia.

— No, to potem wszystko ułożymy, — rzekł, — przyjdę za kilka godzin. Do widzenia!

To mówiąc podał jubilerowi rękę i wyszedł. Karstner powrócił do swego bióra.

— Słyszałeś? — zapytał pomocnika; — weźmiemy brylantów? Ostatnie jeszcze nie zapłacone, a dziś dopiero odebrałem wezwanie do zapłacenia zaległego rachunku.

Gerdau uchwycił go za rękę.

— Słuchaj mię cierpliwie, Bogumile, — rzekł, — trzeba wielki zrobić interes. Jednym zamachem możemy wielką sumę zyskać, jeżeli będziesz mądry i posłuchasz mojej rady.

Karstner zadrżał.

— Rady od ciebie?

— Tak jest. Zbierzesz wszystkie pieniądze i kupisz te brylanty, które Hilgendorf jako znawca uzna naturalnie za prawdziwe, wysadzisz niemi garnitur i na czas go odstawisz.

— Dalej!

— Wtenczas — mówił Gerdau dalej, — przy wręczeniu garnituru raz mu jeszcze zwrócisz uwagę na wartość kamieni. On zapłaci, jak zawsze, gotówką, schowa puzderko do górnej szuflady swego biórka, gdzie chowa wszystkie swe kosztowności. On sam mi to powiedział, gdy mu ostatni raz odniosłem brylantową špilkę.

— Ale ja nie rozumiem — — —

— Zaraz skończę. Pokój, w którym się to biórko znajduje, jest w najodleglejszym skrzydle pałacu na parterze, gdzie zarazem dla panującej tu ciszy jest Hilgendorfa sypialnia. Mam ja najrozmaitsze klucze; jeden z nich, o ile sobie kształt zamka przypominam, będzie do niego stosowny. Czyby ci więc trudną miało być rzeczą, w dogodnej chwili wnijść do tego pokoju, wyjąć z szuflady puzderko, a na to miejsce położyć zupełnie podobne, z zupełnie podobnym garniturem, tylko z fałszywemi brylantami?

— Bój się Boga, Michale! — Ja mam być złodziejem?

— Zyskasz przy tem figlu przynajmniej pięć tysięcy talarów, — mówił Gerdau spokojnie dalej. — Rozważ tylko: gdy się Hilgendorf po odebraniu garnituru najdowodniej przekona, że są prawdziwe, to już później nie będzie się im przypatrywał bliżej; a skoro tylko Agata będzie w posiadaniu garnituru, natenczas mógłby tak samo jak ty, ktoś inny, — naprzykład Feliks — był przemienić kamienie. Pięć tysięcy talarów za jednę drobną manipulacyą, — ja myślę, że to dobrze zapłacone.

— A gdyby mię zdybano? Gdyby—nie, nie, nigdy!

Z głośnym jękiem padł Karstner na krzesło.

— Zrobisz to, tylko potrzeba cokolwiek odwagi; rzecz sama niesłychanie łatwa. Dla większego bezpieczeństwa pojadę dziś sam do Hilgendorf; ekonom tameczny jest moim przyjacielem, więc nie trudno mi będzie do sypialni Hilgendorfa się dostać, przycisnę wosk do dziurki od klucza i w okamgnieniu mieć będę odcisk zamka, abyś nie potrzebował pomiędzy kluczami przebierać. A więc odwagi, przyjacielu! Kup kamienie, a ja tymczasem zajmę się fabrykacyą dwóch garniturów tak do siebie podobnych, że ich najwprawniejsze oko nie zdoła rozeznać. Spuść się na mnie, ja już wszystko dobrze pokieruję!

ROZDZIAŁ II.

Zegar na wieży kościelnej we wsi Hilgendorf zwiastował dziesiątą godzinę z rana. Długo jeszcze brzmiał ostatni dźwięk wśród ciszy, zalegającej pola i łąki, owej tak do serc przemawiającej ciszy pogodnego poranka letniego, owego spokoju, który z wspaniałego dzieła Stwórcy przenika do wzburzonej piersi człowieka, a potem, może zupełnie bezwiednie, odbrzmiewa w nim, jakoby dawno zapomniana modlitwa pierwszych lat dziecinnych, jakoby nieme orędzie z świata wyższego, nadziemskiego do padołu doczesnych namiętności.

Ale owo młode, jasnowłose dziewczę, które teraz w lekką białą sukienkę przybrane, wyszło z pałacu i ku wsi się zwróciło, cieszyło się niezawodnie prawdziwym błogim spokojem wewnętrznym; tak miłe, anielskie było jej oblicze, tak wdzięczne każde jej poruszenie. Była to Agata Hilgendorf, jedynaczka pana tej włości.

Jeszcze nie uszła daleko, gdy usłyszała, że ją ktoś woła po imieniu; odwróciła ię i z uśmiechem skinęła na powitanie młodzieńca, zbliżającego się polną drożyną. Postać jego była zgrabna i wysmukła, niebieskie jego oczy jaśniały wesołością i wyrazem dobroci w ujmującej, z lekka ogorzałej twarzy, ozdobionej małym jasnym wąsikiem.

— Co znaczy ten rozruch we wsi, Feliksie? — zapytała Agata, odpowiedziawszy na serdeczne jego powitanie.

— Wędrujący komedyanci przybyli do wsi. Pan Hilgendorf pozwolił im kilka dni we wsi pozostać i dawać przedstawienia. Może się do nich przejdziemy, panno Agato?

— Owszem: żal mi takich ludzi, bo zwykle największa u nich panuje bieda. Może im się przyda cokolwiek pożywienia.

— I ja się nad nim lituję, chociaż po największej części tacy ludzie sami sobie winni, — odparł Feliks.

Gdy oboje do wsi przybyli, stała trupa otoczona gawiedzią, przed karczmą, gdzie się odbywać miały przedstawienia. Cała banda składała się z ośmiu osób w fantastycznych strojach; wszystkie rupiecie tego artystycznego towarzystwa złożone były w obszernym wozie, którym własnoręcznie kierowała pani dyrektorowa, silna pięćdziesięcioletnia kobieta. Inni artyści, pomiędzy którymi i dwie kobietki się znajdowały, w młodszym byli wieku, ale pomiędzy wszystkimi nie było jednej twarzy, któraby zdołała wzbudzić jakiekolwiek współczucie; były to fizyonomie pospolite, po części bezmyślne, po części napiętnowane występkiem. Jeden tylko starzec, który z trudnością gramolił się z woza, stanowił w tej mierze wyjątek.

Liczył on mniej więcej lat sześćdziesiąt, ale dla swej słabości i dla swej troskami pooranej twarzy, która wskutek używania trujących metalowych kosmetyków teatralnych, zupełnie szarą miała cerę, wyglądał daleko starzej. Włos jego zupełnie był

posiwiały, a ubranie na nim wytarte jakkolwiek czyste i schludne.

Starzec nie był pięknym ale na obliczu jego dziwny malował się ból i smutek. Feliks nie mógł się oprzeć uczuciu współczucia i litości; a podczas gdy dyrektorowa z pokorą zbliżyła się do Agaty, którą jej wskazano jako dziedziczkę i z niezmierną wprawą jej zachwalała artystyczne zdolności swego towarzystwa. które się cieszyło zaufaniem najdostojniejszych osób, zbliżył się do starca, który usiadł na ławie przed karczmą, podczas gdy reszta komedyantów wśród tłumu gawiedzi swe manatki znosiła do karczmy.

— Jesteście znużeni? — zapytał Feliks starca; — nic dziwnego, bo dziś skwar nie mały, a wyście pewnie już daleką zrobili drogę?

— Ujdzie, panie, ujdzie; ale widzi pan, gdy nadejdzie starość, a poprzednio już troska i żałość porządnie gospodarowały w człeku, to też potem tkwi w kościach!

— Może się napijecie piwa, staruszku; to was pokrzepi. Zaraz wam każę podać.

— Wody, panie, wody, jeżeli wolno prosić; był czas, że piłem czystą okowitę, a gdyby było potrzeba, tobym i płynny ogień był wlewał w gardziel; chciałem zapić to, co mi serce tłoczyło, chciałem spłókać boleść; ale się nie udało, panie, nie dało się zalać ani gorzałką, ani nawet łzami.

— Biedny człowieku! Musieliście wielkie przechodzić cierpienia! — rzekł Feliks wzruszony, — czy jesteście mężem tej kobiety, która tu, jak się zdaje, rej wodzi pomiędzy wami?

Na te słowa zrobił starzec tak pocieszny ruch największego przerażenia, że Feliks mimowolnie się rozśmiał, potem odrzekł komedyant:

— Jej mężem? Bogu dzięki, że nie: ale ja jestem jej komikiem. Tak jest, panie, znakomity ze mnie komik, chociaż mam już lat sześćdziesiąt i twarz troskami pooraną.

— Maćku! — zawołała dyrektorowa krzykliwym głosem. — Maćku! pokaż jeno, co umiesz! Powiadałam wielmożnej pannie o twoim znakomitym talencie; dalej wystąp jeno z tem, co się najjaśniejszemu baszy tureckiemu w Chinach tak bardzo podobało!

— Nie, nie! — zawołała Agata pospiesznie, spostrzegłszy słabość starca. — W... pocznijcie sobie przedewszystkiem, a ... niej dacie nam próbki swej sztuki. A teraz pójdźmy, Feliksie, bo na mnie czeka gospodyni.

Feliks atoli zatrzymał się jeszcze, przystąpił do starca i rzekł do niego:

— Wprawdzie sam też tylko jestem właściwie gościem w Hilgendorf, i nie mam prawa rozporządzać żadnym kącikiem; pan jednakże jest taki dobry i szlachetny, że z pewnością gniewać się na mnie nie będzie jeżeli was wezmę ze sobą do pałacu. W bliskości mojego mieszkania znajduje się komora opróżniona; tam możecie tak długo mieszkać, jak długo tu dawać będziecie przedstawienia; żywności dostarczy wam kuchnia pałacowa, a będziecie mieli lepiej, jak za zapłatą tu w tej karczmie, gdzie reszta może pozostać. Czy zgadzacie się na moją propozycyą?

— Z wdzięcznością! — zawołał starzec. — Niech Bóg pana błogosławi za to dobre serce! Zobaczycie, że stary Maciek nie zrobi wam hańby.

* * *

Goście z miasta przybyli do pałacu Hilgendorf. Poprzednio jeszcze mówił Hilgendorf częścią dla żartu, częścią też dla lepszego przekonania się o wzajemnych uczuciach młodych ludzi, w obecności obojga, z wielkiem uniesieniem o dobrych przymiotach Emanuela Wallera i z przyjemnością widział niepokój pewien tak w obliczu Agaty, jako też Feliksa.

Teraz zjawił się Emanuel w towarzystwie swego wuja, jubilera Karstnera. Agata przyjęła go bardzo chłodno, a Feliks nie mógł stłumić wewnętrznego rozdrażnienia, jakkolwiek wszelkiemi siłami starał się nad sobą zapanować. Emanuel bowiem, który dotychczas w obecności Agaty sadził się był na najwykwintniejsze zachowanie się, pofolgował teraz, gdy wszelką utracił nadzieję pozyskania jej ręki, wrodzonej swej dumnej bezwzględności i względem Feliksa tak się zachowywał niedelikatnie, że potrzeba było bezustannie błagalnych spojrzeń ... gaty, aby Feliksowi przypomnieć, że ... nuel jest gościem w domu jej ojca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RZEŹ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy).

Uriadnik *(do Bartłomieja.)*

Spiesz do zarządzcy konnej poczty i powiedz mu, ażeby zaraz przysłał dwa parokonne wozy. (*Grozi mu pięścią pod nosem.*) Pamiętaj, żeby konie zaraz tu były!

Bartłomiej *(wychodzi pospiesznie.)*

Uriadnik *(chodząc po scenie.)*

O ten suki-syn! Konie zaraz są potrzebne, naczelnik przyjechał, a on tu siedzi i zabawia się tabaką. Ja tego suki-syna nauczę! Ja mu pokażę, jak służyć i słuchać naczalstwa.

Bartłomiej *(wchodzi. z daleka zdejmuje kapelusz i mówi.)*

Panie Uriadnik! Już są gotowe dwa wozy, do których zaprzężono po parze koni. Przykazałem, ażeby dali bryczki mocne i dobre konie, ażeby pan naczelnik dobrze i prędko mógł wrócić do domu.

Uriadnik *(krzyczy.)*

Dureń jesteś!

Bartłomiej.

Czy za to dureń, że postarałem się o dobre bryczki i dobre konie dla pana naczelnika?

Uriadnik.

Dureń jesteś!! Twoje bryczki i twoje konie panu sprawnikowi nie są potrzebne. Do tych bryczek powsadzamy te śmiecie, te stare pudła, wasze zakonnice. (Wychodzi)

Bartłomiej.

(*Po mowie uriadnika, staje mocno zatrwożony na miejscu, upuszcza z rąk czapkę, po chwili spokojnego stania mówi:*)

A to łotry! A to zbóje!

(*Podnosi rękę w stronę, gdzie wyszedł uriadnik i grożąc pięścią mówi:*) Jak dam, tak wszystkie zęby powybijam! Prawda, że zginę, ale wszystko jedno. (*Wyjmuje chustkę z kieszeni, ociera łzy i płacząc mówi:*) Żal mi tylko żony i małych dziatek! (*płacze*). Szkoda zakonnic, szkoda! (*płacze*). Przypominam sobie jak mnie małego uczyły pacierza i katechizmu! (*płacząc wychodzi.*

SCENA IV.

(*Naczelnik przychodzi w towarzystwie assesora, uriadnika i doktora. Później Agata i Przełożona zakonnic.*)

Naczelnik *(do Uriadnika.)*

Proszę nakazać, ażeby drzwi klasztoru zaraz otworzono.

Uriadnik.

(*Gdy naczelnik mówi oddaje mu uszanowanie, a potem idzie do drzwi klasztoru i jak waryat bije we drzwi i słucha czy kto nie przychodzi otworzyć*).

Agata *(odzywa się za drzwiami.)*

A kto tam łamie i rozbija drzwi w nocy.

Uriadnik.

Policya! Otwórzcie zaraz!

Agata.

Proszę zaczekać, powiem przełożonej.

Uriadnik *(bardziej zaczyna kołatać i krzyczeć.)*

Otwórzcie zaraz! A jeżeli nie, to drzwi połamię! Klasztor was rozwalę Prędzej, bo tu pan naczelnik czeka!

Przełożona.

(*Wychodzi z klasztoru, a skłoniwszy głowę przed naczelnikiem mówi:*)

Czego panowie żądacie od nas?

Naczelnik.

Przykazuję wam, żebyście zaraz opuściły klasztor i jechały do Kowna (*wyjmuje i podaje przełożonej mówiąc:*) Oto rozkaz pana gubernatora.

Przełożona.

(*Wkłada okulary, czyta po cichu, a potem mówi do naczelnika.*)
Ja bez rozporządzenia Biskupa nie mogę ztąd wyjechać.

Naczelnik.

Ja mam rozkaz od pana gubernatora i muszę takowy wypełnić. A jeżeli będziecie się sprzeciwiały, to my już na to poradzimy.

Przełożona.

Wiem, że to wszystko potraficie uczynić, czyńcie więc co się wam podoba. Napadliście na bezbronne niewiasty w nocy, jak na jakich kryminalistów.

Naczelnik.

Władza czyni to, co jej czynić wypada, albo jak jej się podoba. (*Zwraca się do assesora i mówi:*) Proszę rozkazać księdzu, żeby zaraz tu przybył.

SCENA V.

Ciż sami, ksiądz i doktor, później Bartłomiej.

Ksiądz.

(*Przychodzi z assesorem, skłoniwszy się lekko naczelnikowi staje w bliskości naczelnika.*)

Naczelnik (*do księdza.*)

Proszę wytłómaczyć i rozkazać przełożonej, żeby nie sprzeciwiała się, ale zaraz wyjechała do Kowna.

Przełożona.

Ja proszę o litość nad choremi! Jeżeli nie szanujecie nas i naszego zakonu, to zlitujcie się choć nad choremi, które są tak słabe, że z łóżka wstać nie mogą.

Naczelnik (*do doktora.*)

Doktorze, proszę obejrzeć chorych.

Doktor (*udaje się do klasztoru dla obejrzenia chorych.*)

Ksiądz (*do przełożonej.*)

Nic nie możemy poradzić, proszę wybierać się w drogę! (*Przełożona mdleje i upada na ziemię.*)

Doktor.

(*Wraca z klasztoru, bierze za rękę przełożoną i po chwili mówi do naczelnika:*) To wszystko głupstwo! Może pan naczelnik rozkazać powsadzać je do bryczek, a ja zapewniam, że ani jedna nie zdechnie.

Naczelnik (*do Uriadnika.*)

Uriadnik! Powsadzajcie je do wozów!

Uriadnik (*woła.*)

Sołtys! sołtys! Pomóż powrzucać te pudła do wozu!

Bartłomiej (*przychodzi i płacząc ociera łzy.*)

Uriadnik (*kopiąc nogą na Bartłomieja krzyczy:*)

A ty suki-syn! Tobie żal tych starych pudeł?! Ha, ha, ha, ha, (*uderza sołtysa i podaje mu latarnię mówiąc:*) Bierz tę latarnię i poświeć nam! (*Poczem z assesorem wloką przełożoną do wozu, następnie zawijają chore w prześcieradło i także wynoszą.*)

Bartłomiej.

(*Postępuje za uriadnikiem, trzymając w lewej ręce latarnię, a prawą ociera łzy.*)

Naczelnik.

(*Nakłada pieczęć na drzwi klasztoru, potem mówi do księdza:*) Proszę wynieść z kościoła Najświętszy Sakrament, ponieważ i kościół muszę opieczętować.

Ksiądz.

Ja bez rozkazu Biskupa nie mogę tego uczynić!

Naczelnik.

To jest sprzeciwianie się władzy!

Ksiądz.

Nie sprzeciwiam się, lecz pełnię tylko obowiązki swego powołania, gdyż w rzeczach wiary i sumienia obowiązany jestem słuchać Boga...

SCENA VI.

Ciż sami i lud na czele z Janem. Mężczyźni po jednej a kobiety po drugiej stronie płaczą, ukłoniwszy się naczelnikowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)